



Dwumiesięcznik uczennic Seminarjum Nauczycielskiego w Marjówce.

POŻEGNANIE KOŁĘDY.

Wszystko przemija... leci gdzieś, pędzi i ginie, a już nie wraca nigdy...

Mkną tak dnie, lata, godziny, mile chwile, i już nie wracają! A szkoda, że wpadają w przepaść. O, prześnione lata, dni, chwile i żegnajcie!

Żegnajcie na wieki, bo nigdy nie wrócicie! Miły okres kołęd powraca do nas jednak każdego roku. Chociaż powtarza się ciągle, nigdy nam się nie znudzi. Okres kołęd to czas, w którym po całej Polsce brzmią te prześliczne pieśni. Śpiewają je starzy, młodzi, a nawet i małe dzieci... Jak bardzo są lubiane kołеды, świadczy to, że jeszcze przed Bożym Narodzeniem nieraz one rozbrzmiewają, a szczególnie u nas w szkole, gdzie są zwiastunem prędkiego wyjazdu do domu. Jest ich dużo i każda nasuwa najrozmaitsze myśli. Kiedy np. zabrzmiał kołęda „Bóg się rodzi”, przed



Na Matkę Boską Gromniczną

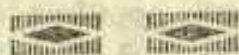
W tym obrazku widzimy Matkę Boską Gromniczną, która jest jedną z postaci ludowych. Wokół niej gromadzą się dzieci, które niosą świece, aby w ten sposób wyrazić swoją pobożność i nadzieję. Scena ta ma miejsce w zimie, co sugeruje tradycyjne święta i obchody. W tle widać kościół, co podkreśla sakralny charakter wydarzenia.

oczy ma staże mi uboga stajenka, a w niej pastuszkowie oddają niskie pokłony Najwyższemu Stwórcy. Przymknawszy oczy, mam wrażenie, że i ja biegnę do Niego i tam, upadłszy na kolana witam małego Chrystusa. — Lecz nadchodzi czas, w którym trzeba koledy pożegnać. Święto Matki Boskiej

— Gromnicznej kończy właśnie ten miły okres. Płyną więc ostatnie koledy coraz głośniejsze, coraz szerzej, a serce bije, dusza unosi się gdzieś daleko przed tron Boga i zanosi Mu echa naszych hymnów na cześć małego Dzieciątka. Kocham was, koledy, za to, żeście nam tak bliskie, że nam przypominacie Boga i za to, że wprowadzacie nas w świat dumań...

A teraz żegnam was, lecz wróćcie do nas tak pięknie jak zwykle, a może jeszcze potężniejsze!

Es-El III kurs.



ŚNIŁ MI SIĘ DZISIAJ ŚNIEG...

*Śnił mi się dzisiaj śnieg
Puszysty, miękki..*

*Tak sobie cicho spadł,
Jak ten z jabłoni kwiat,
Tak sobie wokół legł
Puszysty, miękki..
Pierwszy śnieg...*

*Śnił mi się dzisiaj śnieg
Puszysty, miękki..
Co sobie cicho legł
Pierwszy śnieg...*

*A taki biały był,
Że przykrył wszystek pył,
Ból, nędze wszelki brud,
Cierpienie, łzy i trud..
I nic już zła nie było,
Więc cały biedny świat
Śmiał się, jak w słońcu kwiat...*

*I każdy szczęśliw był,
Gdy upadł pierwszy śnieg,
Biały śnieg..
Co mi się dzisiaj śnił...*

„Podchmurny lot” (k. III-ci)

DLA MORZA.

Szeroko w wilgotny łan wygięte, lekko zmarszczkami cieniowane, a w ogólnym kolorycie beżmiernie szare kolyszesz się zcicha, morze nasze, a po wodach twoich ślizga się dumka ojczysta, polska!...

W słońcu błyszczysz jasne, rozedrgane, migocące złotem skier, nieledwie roześmiane koronkową bielą fal, co je rzucasz w zabawie o piaszczysty brzeg.

Blżej widziane nasuwasz myśl o skarbie potęgi swego narodu, o skarbie, ukrytym w sercu głęboko zielonej toni, o tej wieści, co rozplynie się wdał i co ludom wierzyć nakaze, że Polska była, jest i będzie silną zawsze.

Okryty siną, chmurną mgłą z rozstrzępioną wzburzeniem falą, z wilgocią dżdżu na skroniach, sam siny ogromnie zdawasz się być, Bałtyku nasz, w smutnym, łzawym uścisku z niebem spleciony. I niema wtedy morza, nie widać nieba, jeno wielki bezkres szary, skarżący się szumom za krzywdy minione swoje i tej ziemi, co ufnie do brzegów jego się tuli. Za te łzy, co z nurtem rzek spłynęły — a szły one z całej Poski cierpiącej, aż hen, z pod Tatr wyniosłych. Szły wielkie, bólem pełne i padały cicho w ojcowskie ramiona Bałtyku. — A tyś powstawał wówczas, wichry ku sobie wzywał i lecieć kazał na szczyty Karpat i tłumaczył, że niewola nie wieczna, że minie, że wierzyć trzeba.

I wierzono! —

Dziś szumisz o tem w pochmurne, mgliste dnie.

A w zmierzchy pogodne stajesz tęsknie liljowy z szarosinym obrzeżem i cichym braterskim pocałunkiem na złocistym skraju usypiasz Polskę. — A potem jeszcze w księżycowe noce osrebrzony, zadumany, poważny myślisz zapewne o przeszłości, a śniesz o jasnej przyszłości.

Bo Ty nas kochasz, Bałtyku, jak my Ciebie, Ojczyzno Ty nasza wodna! Dziesięć lat minęło, odkąd zaślubin pierścien Twoja przytuliła fala, już dziesięć lat, odkądżeś nanowo nasze i po wieczne czasy niczyje, jeno boże i nasze polskie, ukochane, bliskie...

Śpiewałeś nam, morze, zawsze od czasów Chrobrych pieśnią od chwili zależną: radosną, potężną, współczującą, czy też krzepiącą, a dziś chcemy zaśpiewać Ci my, serca polskie, w gorącej podziękę za to, żeś i Ty też serce, tylko ogromniejsze, żeś Ty dobro nasze, nasza potęga i chluba nasz!

O. (IV kars).

NASZ DZIEŃ.

Z nad pól czarnych, smutnych, z nad szarych łąk wstaje dzień. Ciężki, leniwy, przedzą mgieł jesiennych, jak wieczystym smutkiem osnuty... Mrokiem ledwo przejrzanym pełźnie przy ziemi, podnosi się z trudem ku górze i zagłada przygasłem okiem do syplalni uczenic.

Wszędzie cisza i spokój. Dzień wie, że to nie potrwa długo, wie, że za chwilę ozwie się przeraźliwy głos dzwonka, który pobudzi śpiące dziewczynki, no a wtedy — to już na pewno cicho nie będzie.

„Rafałtko” nie daje długo na siebie czekać; za chwilę dzwoni i dzwoni, że umarłegoby zbudził, no ale z nami gorsza sprawa, niezaw-

sze mu się to udaje, chyba, że ucieknie się do „miłych” przypomnień i zacznie ci nad uchem: „śpij, aaa... śpij, śpij, co tam, że lekcje niezupełnie przygotowane, co tam dwója? — nic, śpij, aaa...”

Wtedy robi się „na złość” dzwonkowi i czem prędzej się wstaje, bo podobne horoskopy pioszą najcudowniejsze sny i są doskonałym środkiem na natychmiastowe wytrzeźwienie.

Uporawszy się z porannymi zajęciami w sypialni, ma człowiek względny spokój do g. 8.25. O g. 8.30 zaczynają się lekcje. Pięć minut przed lekcjami poświęcone jest na wyczekiwanie pań w celu dowiedzenia się, którą nogą dana pani wstąpiła na schody. Jest to rzecz niezmiernie ważna, gdyż wpływa na możliwość odpowiedzi. Z rekonesansu takiego zazwyczaj wraca któraś do klasy z krzykiem radosnym: „Prawą! prawą! nie będę odpowiadać!” Cieszy się tylko sama, bo reszta tych, co się nie nauczyły lekcji, w skupieniu myśli nad sposobem odwrócenia ciosu. Najlepszym środkiem ku temu jest ciągle, uparte powtarzanie: „Nie chcę odpowiadać! nie chcę i już!” Ma to hipnotyzować panią i zmusić do „wyrwania” innej. Sposób to jednak, jak się okazało, bywa zawodny i radzę nigdy nań zbyt nie liczyć — (kiedyś swoje „nie” powtarzałam tak mocno, że aż zgrzytały zęby, no i... odpowiadałam najpierwsza).

Idą godziny zajęć, przerywane parominutowym spoczynkiem, w czasie którego rojno i gwarno na sali rekreacyjnej. Jedne biegną na partyjkę siatkówki, inne z werwą bawią się w „karuzelę,” jeszcze inne opowiadają sobie wrażenia z ubiegłej lekcji.

Kres wszystkiemu kładzie potężny głos dużego „Rafała,” wołającego do zajęć bardzo prozaicznych, jakto obiad, spacer i t. p. Poezję wprowadza dopiero „szara godzina.” Z liljowego mroku wychyla się świetlane Marzenie i miękkimi dłońmi obejmuje kolejno głowy uczenic. Zapatrzona w dal, płonąca szkarłatem zórz wieczornych, widzą to, co widzieć chcą, pragnienia, co wyrosły w duszy, karmione krwią gorącą młodego serca.

Nastroj zostaje przerywany czasem, gdy któraś, nie mogąc zmieścić w sobie nadmiaru dziwnych uczuć, jakie sączy jej w duszę Marzenie, próbuje wylać je (pożał się, Boże) w grze na skrzypcach. Cudowny w rękach mistrza instrument zmienia się w narzędzie tortur, gdy dotknie go ręka pierwszorocznej uczenicy. Za dziesiątą górę pierzcha przerażone Marzenie, słodki mrok kurczy się, gęstnieje i drga, jakby w męce wielkiej. W klasie powstaje hałas, wywołany dziesiątkami protestów w różnej formie i na różną nutę.

Rada — nierada Zosia, Jasia czy Marysia położyć musi skrzypce, ale robi to z miną, która mówi: „Co wy się tam znacie, gram wcale nieźle, jak na pierwszy raz. „On nie powróci” — oddałam z taką siłą, iż zdawaćby się mogło, że nietylko jakiś jeden „on” poszedł i nie wróci, lecz

tysiące, całe pulki zginęły gdzieś na zawsze. Dlatego zgrzytały tak skrzypce..."

Klasa w milczeniu przyjmuje wyrażone sobie lekceważenie, myśląc, że wolałaby przecież nawet coś gorszego, niż tę cichą wzgardę, byleby nie słyszeć już tej „tragedji” tysięcy.

O g. 4-ej odkłada się wszystko na stronę, zaszczytne miejsce zostawiając lekcjom, które przygotować trzeba na dzień następny. W mniejszem lub większem skupieniu, powadze i ciszy przeżuwa się różne mądrości, co trwa do kolacji. Pozostałe dwie godziny wolne wykorzystujemy rozmaicie. Jedne idą do czytelni nakarmić ducha, inne bawią się, tańczą, a jest grupka „upośledzonych,” które, mimo chęci, nie mogą oddawać się rozrywkom spokojnym, gdyż, dbając o figurę, a właściwie chcąc ją taką uzyskać, muszą oddawać się sportom.

Nielitościwa moda wymaga wysmukłej figurki, czem niewysmukłe swe wielbicielki wprowadza w ciężki kłopot. Zawsze po kolacji kilka takich skłopotanych uczenic urządza biegi. Pędzi się, że dech zapiera. Na błędne męczennice mody patrzy z góry księżyc z dobrym, przyjaznym uśmiechem. Staruszek radby może sam trochę pobiegać, lecz już stanowczo za późno na odtłuszczającą kurację. Toczy się więc tylko zwolna odwieczny przyjaciel pensjonarek, ślac im jasne, ciekawe spojrzenia.

W godzinę po takich biegach adepty smukłej linii pokrywom przed innymi i przed sobą udają się do p. Anulki, żeby coś „przekąsić”.

Wszystko widzący księżyc śmieje się, aż z oczu padają mu ogromne łzy — gwiazdy, świecąc migotliwie.

Iskra (II kurs).



BAL.



Bój się Boga, dziewczyno, nic nie robisz, siedzisz jak za dobrych czasów, a tu roboty huk! Już mi ręce opadają. Ale wpadłam tu po ciebie, Basieńko, chodź na salę, a zobacz... Pająk mówię ci — no! Fiu, fiu! Ale przecież wszystkie muszą pomagać, ja daję przykład, ale z jakiej racji ty masz nic nie robić...

Działo się to w sypialni, zwanej poetycznie „Pod arkadami.” Basia, siedząc zamyślona i jakoś smętnie wpatrzona w przeciwległy kąt sypialni, mało zdawała się zwracać uwagi na potok wymowy swej koleżanki, ale po słowach — nic nie robisz, — zwróciła głowę w jej stronę — zdziwiona.

— Co, ja nic nie robię? Ja właśnie myślę...

— No, to już widzę dawno — ale cóż ci z tego przyjdzie. Bierz ze mnie przykład, pracowałam, aż kurz szedł.

— Ale widzisz — przerywa Basia — myślę tak sobie, co też w tej

chwili dzieje się w Mogielnicy... Co oni tam myślą o nas, o Marjówce. A już najciekawsze to będzie — zapoznanie, pierwszy tancerz...

Hm... wiesz to naprawdę ciekawe. Ja myślę...

I zapominając o ogromie pracy, o cudnym pajaku, o wielkim przykładzie wytrwałości w pracy, usadowiła się wygodnie obok Basi.

I snuć się poczęły marzenia śliczne, dziewczęce, niby przedza najcudniejsza, złocista...

Wreszcie!... Samochód mogielnicki stanął. Wysypała się brać seminaryjna wesoło, ochoczo i jeszcze weselej, a silnie rozbrzmiało z pełni piersi „Przybyli ulani”... Ale panienka im okienka otworzyć nie mogła — z tej prostej przyczyny, że nie wypadało...

A było ich czterdziestu... i czterech...

132... 222... 204... 3... 54... 33...

Poczta francuska. Na sali gwar, śmiechy, wesele. Co chwila odzywa się głos wyczytującego numerki z poczty: kursują sekretniki, wymiana myśli.

Z sali rekreacyjnej zrobiła się balowa, wesoła, kolorowa, zda się, że wszystko się śmieje, raduje.

Nagle odzywają się tony walczyka... Panowie proszą panie i powoli rozwija się długi, czarno-biały, załamujący się wąż tańczących.

Płyną tony, wirują pary...

Po walczyku idzie ognisty oberek, pełen energii, werwy, życia. Z gwarem rozmów, śmiechów łączy się trzask hołubców — zabawa wre w najlepsze.

Przerwa i odpoczynek.

Teraz budzarek się zapelnia... Bliżej zapoznane pary mkną w jego kierunku, by na wygodnej kanapce wypocząć, nabrać siły, no i mile porozmawiać.

Dodać należy, że kanapa ta to nie byle sobie zwykła kanapa, ale z pokoju samej pani Dyrektorki. Toteż Zocha nie byle jak triumfowała, że na niej wraz ze swym tancerzem pierwsza usiadła.

W czasie kolacji w rogu stołu, blisko pieca zgromadziło się towarzystwo nader poważne. Rozmawiano tam, aż... o historii wychowania. Temat ten aktualny i interesujący wywołał ożywioną dyskusję, w której poruszano zawile kwestje wpływu Rousseau'a na ówczesne społeczeństwo.

Kolacja przeszła wesoło, przerywana chóralnym śpiewem kolegów seminarzystów.

Wreszcie po krótkiej modlitwie opuszczono salę.

— — — — —

Walczyk kotyljonowy.

Którego też tancerza los mi wyznaczy? A gdybyż tak... 132 Ach, och...
A może tak 3—54... 46... 40... wzdychają inne...

Wreszcie już udekorowane panie i panowie, zaczyna się szukanie par...
Niezawsze jednak pary dobrały się proporcjonalnie, widocznie los, a szczególnie karnawałowy nie jest dobrym matematykiem...

Śmiechu z tego powodu było coniemiarą, ale przecież wesołość to grunt.

— — — — —

Wszystko się kończy... I bal też, niestety!

Punkt 12 — ni chwili dłużej! Pani Dyrektorka wraz z p. Dyrektorem seminarjum w Mogielnicy dali hasło zakończenia zabawy. Posmutniały twarze, — ale... rozkaz — trudno!

Nastąpiły podziękowania, okrzyki, wiwaty, którymi koledzy chcieli wyrazić swe podziękowanie. I wkońcu, jako modlitwa wieczorna i podzięk Bogu za zabawę zabrzmiała z głębi piersi modlitwa „Wszystkie nasze dzienne sprawy”...

Ostatnie chwile pożegnania... Naprawdę dziwnie rozbrajające i miłe...
Już przy drzwiach chłopcy stają i śpiewają: „Żal, żal za dziewczyną”...
Sama melodia taka ładna, a słowa tak dziwnie stosują się do chwili...

— — — — —

Po balu już. Zdawałoby się, że pomeczone dziewczątka, jak tylko głowy do poduszek przyłożą, usną natychmiast...

Tymczasem gdzież tam...

Gdzieś z jednego kąta słychać rozmarzony głosik: Ach, ten walczyk, dziewczynki...

I zaczynają się zwierzenia, opowiadania wrażeń, bez końca i miary, i wreszcie w sypialni robi się taki gwar, że gospodyni, choć sama rada rozmawiać, musi ze względu na swój urząd uciszać, co niestety nie wychodzi jej na dobre, bo zakrzyczana przez rozentuzjasmowane dziewczynki, nie ma teraz głosu.

I szepty płyną jeszcze długo, długo w noc, aż wreszcie ścichają powoli. Sen kładzie swą ciężką rękę na oczach dziewczęcych, zabiera je w swe panowanie zupełnie. Ale nawet przez sen uśmiechają się radośnie.

Może śnią dalszy ciąg balu...

— — — — —

Poniedziałek — w klasie.

— No, moje dziewczynki, zapomnijcie już o balu — już dosyć...

A Kryśka mi powie, czemu się równa cosinus alfa.

O, prozo życia!...

LOK.

Konkurs sypialni „Pod arkadami.”

Na jednym z zebrań klasowych wysunięty został projekt konkursu na wstawanie. Początkowo nasze śpiochy protestowały gorąco, wkońcu jednak uległy. Konkurs został ustanowiony i zatwierdzony przez ks. Kanonika, który też nazначyl nagrody.

Przez dwa tygodnie miałyśmy wstawać z łóżek odrazu na dzwonek. Każda, gotowa już do wyjścia, miała się zapisywać w zeszycie, zawieszonym w tym celu w sypialni. Zapał był ogromny.... To też wieczorem ci-sza zaległa sypialnie, wszystkie jej pragnęłyśmy, aby móc usnąć wcześniej, a nazajutrz wstać odrazu.

Zaznaczyć należy, że za jednorazowe nawet przyłożenie głowy do poduszki konkurs przepadał. Budzę się rano... czekam dzwonka. Ciemno jeszcze wkoło... wszystkie śpią smacznie, w głowie mi się miesza, usypiam...

Wtem słyszę dzwonek — siadam i oglądam się. Wszystkie dziewczynki siedzą z głowami rozczochranymi, z pięściami w oczach. Ze wszech stron słychać jęki: „O, jak mi się spać chce,” lub „Co mi po konkursie, kiedy oczu otworzyć nie mogę?”

Mimo tych i tym podobnie wygłaszanych zdań, poduszka żadnej nie pociągnęła, lecz wszystkie wstawały szybko, ubierały się, biegały.

Dzwonek na pacierz... zeszyłyśmy na salę, klękły w szeregach i z uśmiechem słuchałyśmy szeptów dziewczynek, które dziwiły się widząc IV kurs w całości.

Kilka ranków minęło mniej-więcej podobnie.

Aż razu pewnego nasza Ira zasnęła, nie słysząc zupełnie dzwonka. W innym znowu końcu któryś śpiošek, nie chcąc się pofatygować, nie oderwał nawet na głos dzwonka głowy od poduszki, lecz spał smacznie przytulony do niej, aż do śniadania (naturalnie poszedł na lekcje głodny). Odtąd wypadki takie stawały się coraz częstsze, a dzień rozstrzygnięcia konkursu zbliżał się szybko.

Nagród miało być kilka, między temi, które nas bardziej nęciły, były: bajki u ks. Kanonika i oglądanie kart (których jest b. wiele) u p. Janiny.

Nadszedł nareszcie ostatni dzień konkursu. Ze wszystkich piersi wyrwały się słowa dziękczynienia i zadowolenia, że nadszedł koniec i że będzie można się wyspać za wszystkie czasy.

Ale nagrody, co będzie z nagrodami? — pytają dziewczynki.

— To już zależy od ks. Kanonika — mówi gospodyni kursowa — musimy mu powiedzieć o końcu konkursu. Po kilku godzinach ks. Kanonik wiedział już o wyniku konkursu, no i był w kłopotcie, nie wiedząc co ma robić z nagrodami, których jednak było znacznie mniej niż dziewczynek. Wkońcu poprosił nas do siebie na bajki i cukierki...

Wielki ruch zrobił się, kiedy któraś z koleżanek wpadła do sypialni i oznajmiła chorem o bajkach. Niektóre z nich wstały szybko i ubierały się jeszcze szybciej, aby iść na te oczekiwane bajki. Po kilkunastu minutach tak wzmożonego ruchu znalazłyśmy się na czele z p. Janiną w pokoju ks. Kanonika. Ponieważ miały być bajki, musiałyśmy się wygodnie usadowić. Pozajmowałyśmy miejsca, gdzie się tylko dało: na kanapie, w fotelach, krzesłach, na ziemi u stóp ks. Kanonika. Słuchając różnych wesołych kawałków z życia ks. Kanonika, różnych figielków i żarcików, zjadaliśmy smacznie słodczyce i wybuchałyśmy co pewien czas szczerym, młodzieńczym śmiechem.

Lecz kiedy zaczął ks. Kanonik opowiadać o Sfinksie, bardzo przez nas lubianym, tak tajemniczym i tak uroczym, wszystkie oczy świeciły mocno, serca były jeszcze mocniej, a twarze płonęły purpurą. Opowiadał długo, ciekawie, a my słuchałyśmy, przedstawiając sobie, „Olbrzyma” na tle złotych, grających piasków Sahary, których smętna melodia i nas wprowadzała w stan pół-snu, pół-jawy.

Opowiadanie się skończyło — czar prysnął, sylweta Sfinksa znikła, zapanował znowu gwar życia codziennego.

Odeszłyśmy wszystkie z głowami, pełnymi wrażeń, nie żałując trudu, bo nagroda była należyta.

Uczestniczka konkursu.

SPRAWOZDANIE Z WYCIECZKI PEDAGOGICZNEJ V-go KURSU DO WARSZAWY.

Instytut Głuchoniemych i Ociemniałych.

W grudniu bieżącego roku szkolnego odbyłyśmy wycieczkę do Warszawy w celu bliższego zapoznania się z najnowszymi metodami, stosowanymi w szkolnictwie. Zwiedziłyśmy przytem ważniejsze instytucje naukowe i wychowawcze jak: Uniwersytet, Instytut Pedagogiki Specjalnej, Państwowy Instytut Robót Ręcznych, Instytut Głuchoniemych i Ociemniałych, szkołę dla dzieci, upośledzonych umysłowo, szkołę dla dzieci, zaniedbanych moralnie, ćwiczeniówkę przy Państw. Semin. Naucz. Żeńskim im. Orzeszkowej, ćwiczeniówkę przy Państw. Semin. Naucz. Męskim im. Konarskiego, szkołę powszechną № 29, szkołę powszechną № 126, szkołę tramwajową i przedszkole prywatne, prowadzone metodą Montessori. Na zakończenie zwiedziłyśmy gmach Sejmu.

Największe zainteresowanie wzbudził we mnie Instytut Głuchoniemych i Ociemniałych.

Nauczanie głuchoniemych datuje się od XVI w. Przez cały wiek XVII i połowę XVIII w. nauczanie to było tylko prywatne.

Pierwszą szkołę dla ubogich głuchoniemych założył w Paryżu ks. de l'Épée w 1760 roku. Założenie tej szkoły było bodźcem do publicznego

kształcenia głuchoniemych. Paryska szkoła, założona przez ks. de l'Épée, przyjęta była przez rząd w 1791 r. jako „Institution Nationale de Paris”. Metodami ks. de l'Épée posługiwały się i inne państwa, jak Anglja i Ameryka.

Przy nauczaniu głuchoniemych rozróżniamy dwie metody: 1) głosowa (niemiecka) 2) mimiczna (francuska). Pierwsza polega na uczeniu mowy głuchoniemego. Naśladownictwo jest punktem wyjścia do całej nauki początkowej. Nauczycielka mówi szeptem, uczeń, trzymając jedną rękę przed ustami nauczycielki, stara się naśladować ruchy ust i siłę wydechów mówiącej. Po pomyślnym rezultacie nauczycielka powtarza to samo głośno, uczeń ręką bada drganie strun głosowych (przez kładzenie ręki na krtani nauczycielki, a potem na swojej), gdy wywoła to drganie u siebie, wydaje wówczas głos. Następnie ćwiczenia mają na celu nadanie głosowi dźwięczności, to znaczy pozbawienie go chrapliwego, nosowego i niskiego brzmienia, które wypływa z długiej bezczynności strun głosowych. Głuchoniemi czytają z ust, co jednak sprawia im duże trudności, ponieważ nie wszyscy umieją mówić do nich wolno i wyraźnie i nie wszyscy umieją odróżnić w układaniu ust niektóre głosy np: l, e, e. Bardzo pomocną jest głuchoniemym metoda mimiczna. Odpowiedniem pochyleniem głowy, ułożeniem palców, ruchami jednej lub obu rąk wyrażają swoje uczucia lub wolę. Wszyscy pierwsi nauczyciele w szkołach głuchoniemych, aż do połowy w. XVIII-go stosowali metodę fonetyczną, dopiero ks. de l'Épée zastąpił ją metodą mimiczną, łatwiejszą przy nauczaniu zbiorowem, jako prostszy sposób porozumienia się.

Dowiadujemy się, co powoduje głuchotę.

Otóż jedną z przyczyn dużej liczby głuchoniemych są małżeństwa w pokrewieństwie. Głuchoniemota w wielu bardzo wypadkach jest wrodzona, przyczyną mogą być nadużycia rodziców (alkoholizm i inne). Głuchota z niemotą jest często pozostałością cięższych jakichś chorób np. szkarlatyny lub zapalenia opon mózgowych. Głuchoniemota spowodowana bywa również brakiem opieki nad dzieckiem (np. silne uderzenie głowy). Najwięcej głuchoniemych rekrutuje się z najuboższych warstw społeczeństwa.

W Polsce pierwszą szkołą dla głuchoniemych jest „Instytut Głuchoniemych” w Warszawie, założony w r. 1817 przez ks. Falkowskiego. Nauka w Instytucie trwa 10 lat, w tem dwa lata pobytu dziecka w przedszkolu.

Do przedszkola przyjmuje się dzieci od lat 5—6-ciu. Ma ono na celu rozwinąć w głuchoniemych te cechy umysłu, które dzieci normalne wnoszą już z sobą do szkoły, a więc: spostrzeganie, skupienie uwagi, naśladownictwo, kombinowanie i obcowanie z rówieśnikami. Na program w przedszkolu składają się następujące przedmioty: gry, roboty ręczne, nauka wymowy i czytanie z ust. Od klasy I-ej — IV-ej jest religja, polski, rachunki, kaligrafja,

rysunki i roboty ręczne. Od klasy IV-ej — VIII-ej, prócz przedmiotów, powyżej wymienionych (wyłączając kaligrafię), jest: historia, geografia i nauki przyrodnicze. Ogromnie zainteresowało nas przedszkole. Ściany ozdobione są wzorzystymi obrazami, przedstawiającymi sceny z życia dzieci. Stoliki z krzeselkami ustawione półkolem ze względu na to, aby nauczycielka mogła widzieć usta wszystkich dzieci i aby dzieci również ułożenie ust nauczycielki widziały. Ciekawa jest lekcja w przedszkolu (jeśli to wogóle lekcją nazwać można). Nauczycielka pisze na tablicy drukowanymi literami wyraz, oznaczający jakiś przedmiot z najbliższego otoczenia dziecka, lub jakąś czynność łatwą dla niego do wykonania. Po napisaniu danego wyrazu dzieci natychmiast odpowiednio nań reagują. Postaram się przytoczyć tutaj dwa dość ciekawe przykłady. Nauczycielka pisze na tablicy słowo: „paf”, jakby na komendę zrywają się biedactwa ze swoich miejsc, biegają naokoło klasy, naśladując pociąg. Innym znów razem nauczycielka pisze na tablicy słowo „tata”. Wówczas dzieci biegną do swych półeczek, na których każde szuka podobizny swego ojca, znalazłszy, zadowolone wskazują paluszkami fotografię.

W przedszkolu warszawskiego Instytutu stosowane są dwie metody: Decroly'ego i Montessori (rozwijanie zmysłów i inteligencji przez zabawy i odpowiednie zajęcia). W całej szkole jest połączenie metody mimicznej z fonetyczną. Metoda mimiczna poza lekcjami, fonetyczna na lekcji.

Klasy w Instytucie urządzone są bardzo ciekawie, nie tak bowiem, jak w szkołach dla dzieci zdrowych. Ławki, a raczej podobne do ławek stoliki (na jedno tylko dziecko) ustawione są również w półkole, stolik nauczycielki z krzesłem stoi naprzeciw. W klasach są duże lustra, aby każde dziecko mogło ćwiczyć się w mówieniu, przy odpowiednim układzie ust. Klasa każda mieści nie więcej, jak 10—12 dzieci, ze względu na przewagę nauczania indywidualnego nad zbiorowym.

Początki nauki czytania i pisania w oddziale I-szym odbywają się w sposób następujący: dzieci modelują z gliny, lub plasteliny np. but, potem rysują go na tablicy i w zeszytach, następnie sama nauczycielka pisze na tablicy: „to but,” wreszcie następuje analiza wzrokowa i motoryczna (ruchowa). Po analizie dzieci piszą ten wyraz na tablicy i u siebie w zeszytach. Jak widzimy, jest to metoda analityczno-syntetyczna, którą stosują w jednej z 3-ch klas pierwszych równoległych. W innej równoległej stosują metodę Decroly'ego. W pierwszym roku dziecko nauczy się od 120—150 wyrazów, a zdań około 50-ciu. Czytanie przychodzi im z ogromną trudnością, zwłaszcza tam, gdzie jest zbieg spółgłosek, np. przy wyrazie „drzewo.” Mówią wówczas bardzo gardłowo, niewyraźnie, i z ogromnym wysiłkiem, dopiero po kilkurazowym przećwiczeniu wyraz nabiera miłego dla ucha brzmienia.

Przy powyższem sprawozdaniu z pobytu mego w Instytucie głuchoniemych w Warszawie nie chciałabym pominąć wrażen, jakich doznałam przy zwiedzaniu go i choć w maleńkiej części postaram się je przedstawić. Chcąc jednak zrozumieć te biedactwa, zapoznać się z ich postęпами w nauce, trzeba tam być i widzieć.

„Wszystko dobrze uczynił: i głusi, że słyszą i niemi, że mówią.” Alegoryczny ten napis w auli Instytutu z pośród bardzo wielu najbardziej utkwil mi w pamięci „... i niemi, że mówią” — zdawałoby się mogło nieprawdopodobnem, a jednak tak jest w istocie. Mała, bo zaledwie 5-cio, 6-cioletnia, przywieziona do instytutu dziecina nie umie mówić, nie ma nawet środków do porozumienia się z przebywającemi z nią towarzyszkami i towarzyszami, również nieszczęśliwymi jak i ona. Po kilkuletnim jednak pobycie w szkole robi ogromne postępy i stopniowo przez pełną wysiłków pracę nauczycieli zaczyna mówić. Jedne z dzieci, (a jest ich nawet dość dużo) mówią zupełnie wyraźnie, inne mniej zrozumiale, a wypowiedzane słowa są, jakby jednym jękiem, wydobywającym się z głębi gardła, lub przykrym dla ucha zgrzytem. Każde z dzieci, rozmawiając z kimś z personelu, śledzi dokładnie poruszenia warg mówiącego i z rozjaśnioną twarzą, zadowolone z siebie, odpowiada na zadane mu pytanie. Coś ciągnie nas do nich, gdy się widzi ich dobre, łagodnie patrzące oczy, czasami smutne, czasami figlarnie uśmiechnięte. W wychowawcach swoich widzą drogich im opiekunów, zastępujących im rodziców. Kiedy ukaże się na sali rekreacyjnej, lub w klasie dyrektor Instytutu pan Manczarski, biegną wszystkie do niego, jak do ojca, z wyciągniętymi rękami i tulą się, jak pod skrzydła opiekuńcze.

Kiedy pytałyśmy się, gdzie im lepiej, odpowiadały z zadowoleniem, że w szkole. Nie dziwiłyśmy się temu wcale, bo mało jest dzieci ułomnych, któreby w domu znalazły należyte zrozumienie, są one raczej przedmiotem, popychanym z miejsca na miejsce. W Instytucie wychowawcy aż nadto rozumieją doniosłość swego zadania, rozumieją mowę nieszczęśliwych, a wyrazem tego jest macierzyńskie poprostu odnoszenie się do swych wychowanków, co mogłyśmy same zaobserwować.

Najsilniejsze i niezatarte wrażenie zrobiła na mnie msza św. w kaplicy Instytutu. Była to msza żałobna za duszę zmarłej na dni kilka przed naszym przyjazdem nauczycielki głuchoniemych. W dwie kolumny stały ustawione dzieci głuchonieme, na chórze śpiewali ociemniali, a jeden z nich grał na skrzypcach. Rozbrzmiewały słowa smutnej, żałobnej pieśni i także tony skrzypiec. Rzewna muzyka, smutny śpiew niewidomych i modły głuchoniemych zdawały się zlewać w jedną, bijącą w niebiosa skarżą nieszczęśliwych. Jaki był wówczas nastrój wśród uczestników mszy, nie podejmę się nawet opisać, bo nie oddam tego tak, jak wówczas to czułam.

Wrażenie powiększyło się, gdy po skończonej mszy prefekt Instytutu zbliżył się do zebranych dzieci i dał odpowiedni znak, aby uklekły. Zaczęła się modlitwa: „Wieczny odpoczynek” za duszę zmarłej nauczycielki. Tutaj stwierdziłam prawdziwość słów „... i głusi, że słyszą i niemi, że mówią.” Nie słyszały własnej modlitwy, zanoszonej do Boga, nie słyszały słów prefekta, a jednak rozumiały go, pełniły jego polecenia. Niemi, a jednak mówili. Były to gardłowe, monotonne głosy, z których jednak treści modlitwy można się było dorozumieć. Grupa modlących się nieszczęśliwych dzieci, postać dobrego kapłana i z ołtarza patrząca twarz ukrzyżowanego Chrystusa nadawały całej kaplicy i modlitwie, zanoszonej do tronu Najwyższego, ton poważny, pełen jakiegoś podniosłego nastroju. Może ci biedacy robią takie przygnębiające wrażenie tylko na tych, którzy tam bywają bardzo rzadko, albo byli tak, jak my, po raz pierwszy.

Widząc tylu nieszczęśliwych, chciałoby się dla nich pracować i dać im z siebie choć cząstkę tego, co mogłoby im przynieść ulgę.

Nasunęło mi się wówczas pytanie: czy nie mogłyby usiłowania społeczeństwa zmierzać ku temu, aby zmniejszyć liczbę tych ofiar i ulżyć ich niedoli? Można by to osiągnąć przez przeciwdziałanie przyczynom, powodującym głuchotę z niemotą, oraz przez materialne podniesienie Instytutu, aby mógł on przyjmować większą ilość dzieci głuchoniemych.

J. C. kurs V.

(Wrażenia nasze z pobytu na lekcjach u ociemniałych podamy w numerze czerwcowym).

Urywek z listu koleżanki, pracującej we Francji.

— — — — —
Roboty mam dosyć dużo. Uczę historii, geografii, religii i polskiego w dwóch szkołach. Do jednej z nich dojeżdżam pociągiem. Dzieci ogółem mam 86 w wieku od lat 8 do 13. Pracę szkolną kończę o godz. 4^{1/2}, ale wtedy dopiero zaczyna się prawdziwa robota — oświata pozaszkolna. Nauczyciel polski we Francji koncentruje swoją pracę nie w szkole (jak się to zwykle dzieje), lecz poza nią. Nauczyciel jest główną sprężyną, która porusza „Koła”, „Kółka” i „Stowarzyszenia” w danych kolonjach. Ja mam ni mniej ni więcej, tylko 3 kolonje, w odległości paru kilometrów jedna od drugiej. Muszę tam chodzić przynajmniej 2—3 razy tygodniowo bądź na zebranie, bądź z odczytem lub referatem. Nieraz bywa, że muszę iść podczas deszczu i wracam wtedy zmoknięta strasznie, dość późno w nocy do swego mieszkania, gdzie mnie czeka stos zeszytów do poprawienia i przygotowanie lekcji.

Naturalnie, jeżelibym nie chciała tyle pracować, to mogłabym mniej, ale tu trudno nie chcieć, gdy się ma tę świadomość, że kilka słów, co

się powie do ludzi, może im „coś” dać, poruszyć jakąś lepszą strunę duszy, rozszerzyć horyzont myślowy.

Idę więc zawsze, bo polubiłam te szare tłumy robotników — rodaków, bo poznałam ich życie, ich pragnienia. Każdy z nich odmawia sobie nieraz kawałka chleba, byle uskładać grosz na powrót do Ojczyzny.

Czuje się tu naogół dobrze, czasem tylko mam cięższe dni do przeżycia, a to wtedy, gdy stanie mi wyraźnie przed oczami Polska.

Jedną z takich chwil miałam w październiku na pierwszym różańcowym nabożeństwie. Weszłam do kościoła z koleżanką Francuzką. Nabożeństwo nie zaczęło się jeszcze. Spojrzałam dokoła: szereg klęczników — krzeseł. W nich kilkadziesiąt osób.

— „Mademoiselle polonaise” — usłyszałam szept. Odwróciłam głowę, gromadka dzieci uśmiechnęła się do mnie. Koleżanka pociągnęła mnie za rękę, trzeba było iść tam, gdzie są zwykle wszystkie nauczycielki, jest to miejsce prawie przy samym ołtarzu. Wolałabym pozostać przy drzwiach, ale cóż, nie wypadało. Poszłam, przeprowadzona oczami ciekawych.

Siadłam i czekam. Żadna modlitwa nie przychodziła mi do głowy.

Wyszedł ksiądz: „Au nom du père et du fils... Przeżegnałam się. Mój Boże, a więc jestem we Francji. Do tego czasu jakoś nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopiero teraz. „Je Vous salue, Marie...” — Zdrowaś Marjo... Zakryłam twarz rękami. Łzy przecisnęły mi się przez palce. Co je wywołało? — wspomnienie czy modlitwa? A może jedno i drugie. Tam daleko też modlą się: mały kościółek, ogarnięty półmrokiem, a w nim szereg głów dziewczęcych w granatowych czapeczkach. Czy zobaczę je jeszcze kiedy?.

Długo nie mogłam się uspokoić. Kolacji nie jadłam, pozostałam w swoim pokoju sama na obcej ziemi — z polskimi myślami.

Marja Ziewiecka.

DZIAŁ KOŁA PRZYRODNICZO-GEOGRAFICZNEGO IM. ROSTAFIŃSKIEGO.

Kilka ciekawych spostrzeżeń z hodowli patyczaków.

Patyczaki hoduje już piąty miesiąc. Dostałam je w październiku, od pań nauczycielek ze szkoły powszechnej.

Są to owady spokrewnione z szarańczakami. Właściwą ojczyzną patyczaków są Indje i niektóre wyspy archipelagu Malajskiego. Moja hodowla początkowo liczyła dziewięć osobników.

Patyczak dochodzi do 13 cm. długości. Ciało ma wydłużone, składające się z trójsegmentowego tułowia i odwłoka.

Trzy pary nóg są osadzone z boków tułowia. Dwie z nich skierowane są ku przodowi, a jedna ku tyłowi. Na głowie posiada patyczak parę czułków i oczy bardzo małe.

Pyszczyk jest uzbrojony w żuwaczki, które służą przy odżywianiu. Na pierwszy rzut oka widzimy u patyczaków zdolność upodabniania się do otoczenia, w którym żyją. Kształtem i barwą ciała przypominają gałązki roślin, które się żywią. Gdyby ktoś obserwował je tylko w dzień, mógłby powiedzieć, że owady te wcale się nie poruszają.

I rzeczywiście. Gdy tylko zaczną ustępować mroki nocy, patyczaki szukają dogodnego miejsca na spoczynek. Czasami poszukiwania takie trwają kilkanaście minut, a wygodniś przesuwa się zwolna po ściankach terarjum, wykonywując przytem odwłokiem wahadelkowate ruchy.

W dni pochmurne sen patyczaków jest krótszy.

Początkowo żywiłam je listkami bzu pachnącego. Teraz zaś jedzą trzykrotnie. Główny żer patyczaków jest dopiero o zmroku. O tej porze dnia w terarjum jest najwięcej ruchu i życia. Patyczaki wyciągają swe członki, jakby otrząsając się ze snu i zabierają się do jedzenia. Pracę tą wykonywują bardzo systematycznie.

Pyszczyk patyczaka uwija się skrzętnie kolo listka, ucinając jego brzeg i powracając zawsze do poprzedniego miejsca.

Ciekawym zjawiskiem u patyczaków jest zachowywanie się wobec zmiany temperatury. Np. dotknięcie zniechęca patyczaka zimną stałą, lub ręką powoduje natychmiastowy upadek na podłoże i chwilową udaną śmierć.

Czucie mieści się u nich na końcu czulków i nóg.

Jeszcze w lecie rozpoczął się okres składania jajeczek przez patyczaki. Trwał on dosyć długo, bo prawie do lutego.

Jajeczka patyczaków są małe, w osłonkach chitynowych, koloru brązowego, podobne do ziarenek wyki.

16 grudnia wylęły się 4 młode patyczaki. Początkowo każdy z nich dochodził do 13 mm.

W pierwszym dniu swego życia młode nosiły na odnóżach i odwłoku jajeczka, z których się wylęły. W ciągu następnego dnia jajeczka te były już tylko na jednym odnóży, a po krótkim czasie patyczaki zostały już całkiem oswobodzone. Wogóle młode są więcej ruchliwe od dorosłych. W pierwszych dniach małenstwa te chodziły wszcz i wzdłuż terarjum, jakby chciały zapoznać się z życiem. Z wyhodowaniem młodego pokolenia jest prawdziwy kłopot. Małe nie chcą jeść i po jakimś czasie giną. Pomimo że rozwój patyczaków trwa w dalszym ciągu, to jednak z młodych osobników nie wyhodowałam jeszcze ani jednego. Widocznie nie odpowiadają im warunki przy rozwoju. Również i dorosłe stopniowo zamierają. Nadszedł kres ich życia. Obecnie został tylko jeden patyczak, który, nie zważając na swe otoczenie, czuje się dobrze i tak jak przedtem dużo je i śpi.

Genia (kurs IV).

SPRAWOZDANIE Z DZIAŁALNOŚCI „KOŁA RZYRODNICZEGO”.

za pierwsze półrocze roku szkoln. 1929—30.

W pierwszym półroczu w roku szk. 1929/30 odbyło się w „Kole Przyrodniczym” 12 zebrań ogólnych i 2 wycieczki do pobliskich lasów. Prócz tego do prac przyrodniczych należy zaliczyć: hodowlę aksolotla, złotych rybek, śliza, patyczaków, wypławków, rureczników, pijawek, ślimaków, pajaka topika.

Na podstawie obserwacji hodowli były wygłoszone referaty: Patyczaki,

Wyplawki, Rureczniki. Inne, jak: Szczury i myszy, O orientacji mrówek, O człowieku przedhistorycznym opracowano przy pomocy książek. Ten ostatni uzupełniono pokazami zabytków przedhistorycznych z okolicy. Dwa pozostałe: O Górze Chelmowej i Złotym potoku były opracowane na podstawie obserwacji wakacyjnych.

Koło jest podzielone na sześć sekcji, które pracują oddzielnie nad wybranymi przez siebie zagadnieniami i chodzą na wycieczki. Liczba członków wynosi 60.

Przyrodniczek przygotowują dla szkoły dwie mapy Polski: florystyczną i faunistyczną zapomocą rysowania w kontury.

Ostatnie zebranie „Koło” poświęciło uczczeniu ś.p. prof. Dybowskiego. Jedną z przyrodniczek opracowała życiorys uczzonego, podkreślając jego zasługi naukowe, patriotyczne i humanitarne. Przy epidjaskopie wyświetlono portret ś.p. prof. Dybowskiego, a przyrodniczek odśpiewały: — Szumny wiatr wionął, — Nie dbam, jaka spadnie kara — i Boże coś Polskę.

KRONIKA

6-I-1930 r. Sodaliski IV kursu urządzili choinkę dla szkoły powszechnej. Potem wieczorem była choinka dla całego seminarjum.

13-I-30 r. Na zebraniu „Koła samokształcenia Jedność” postanowiliśmy przeprowadzić reformę samorządu szkolnego. Chodzi o danie większej władzy gospodini klasowej i o egzekutywę.

26-I-30 r. Staraniem kursu III z racji rocznicy powstania styczniowego został odegrany obraz dramatyczny z czasów tegoż powstania p. t. „Posiew wolności.” Majchera. Obraz ten wywołał ogromne wzruszenie, szczególnie u tych osób, co pamiętają dobrze niewolę. Wzruszenie udzieliło się również artystkom.

2-II-30 r. Akademia ku czci Matki Boskiej, urządzona przez sodaliski kursu IV była bardzo miła. Na całość złożyły się śpiewy, deklamacje, oraz cykl obrazów Stachewicza p. t. Legenda o Matce Boskiej, wyświetlany przez epidjaskop.

Po kolacji kurs I wystawił wesołą sztukę p. t. „Według ostatniej mody.”

9-II-30 r. Zebranie „Koła Samokształcenia.”

15-II-30 Odebrała się wielka, doroczna zabawa karnawałowa. Niższe kursy, do III włącznie, zajęły jedną z sal sypialnianych, zmienioną obecnie nie do poznania na strojną salę balową. Orkiestrę stanowiły wprowadzić tylko jedno skrzypce i bębenek, niemniej jednak miłutko a skocznie brzmiały tony poleczek, walców, mazur i t. p.

Na dole, w największej z naszych sal, bawiły się pozostałe kursy. Tym razem przybyli na zabawę i koledzy z wyższych

kursów męskiego sem. naucz. z Mogielnicy pod opieką p. Dyrektora, ks. Prefekta i dwóch pp. Profesorów.

Po koleżeńskim zapoznaniu się nastąpiły tańce, których niedoścignionym wodzirejem był p. profesor Sobolewski.

W chwilach odpoczynku i kolacji brzmiały chóralne śpiewy. Atmosfera zabawy była nadzwyczaj swobodna i wesoła.

Kilkugodzinny bal zakończył się przemówieniem P. Dyrektora i Ks. Prefekta.

Cały wieczór pozostawił bardzo miłe wrażenie, to też za urządzenie go jesteśmy bardzo wdzięczni Pani Dyrektorce.

Kurs V.

9-I-30 r. Po świętach odczuwamy już całkiem wyraźnie, że matura zbliża się ku nam szybkimi krokami. Nie wystarczają nam już zwykłe godziny, przeznaczone do odrabiania lekcji. Zajmujemy zatem czas rekreacji a i po zgaszeniu światła dostajemy oświetlenie naftowe, przy którym uczymy się czasem pół godziny lub godzinę dłużej.

11-I-30 r. Prowadzimy lekcje próbne z francuskiego. Dziećmi jesteśmy — my, a nauczycielką? — dziś była nią Honka, a kto na następnej lekcji, to się zobaczy. Narazie nasza „Podstawa” z wielką brawurą wylamuje sobie języczek, wymawiając różne: „sur, mur, un, une” i t. p. Jesteśmy nią naprawdę zachwycone, rzuca bowiem cały szereg francuskich słów z taką swobodą, jakby się urodziła w Paryżu, kształciła w Sorbonie, a praktykowała... na

— nas w Marjówce... Z niej na pewno będzie „wielki człowiek.”

Na lekcji polskiego cmałaliśmy twórczość Prusa, charakteryzując główne osoby różnych dzieł jego. Przy opracowywaniu typu Madzi wyłoniły się dwa stronnictwa: jedno, adorujące Madzię, drugie, potępiające jej niezwykłą naiwność. Żywa dyskusja trwała przez kilka następnych pauz, stronnictwa bowiem broniły swych racji wytrwale.

14-I-30 r. Na lekcji historii wychowania powstał projekt urządzenia czegoś — a la — wieczorku pedagogicznego, na program którego złożył się przezroczka i króciutkie referaty, omawiające działalność wybitnych pedagogów. —

Hospitowaliśmy dzisiaj także bardzo ciekawą lekcję historii w oddziale V, prowadzoną metodą laboratoryjną. Zainteresowanie było ogromne, obserwacja natężona do najwyższego stopnia.

15-I-30 r. Jakaż miła niespodzianka! Zamiast lekcji gimnastyki miałyśmy bardzo ciekawy referat, wygłoszony przez instuktora spółdzielni o kółkach i stowarzyszeniach rolniczych. Poznałyśmy lepiej zasady różnych organizacji wiejskich, zrozumiałyśmy lepiej rolę wiejskiej nauczycielki.

Jesteśmy bardzo wdzięczną Dyrekcji, że dba o to, abyśmy wiedziały jak w przyszłości zabrać się do pracy społecznej.

24-I-30 r. Na godzinie geografii roztrząsałyśmy poważne zagadnienie: „Czem jest geografia w nauczaniu.” Przy pomocy p. Grzymkowskiej, dochodzimy do szerszego pojęcia tego przedmiotu ze względu na znaczenie humanitarne, etyczne — ogólnokształcące.

Bardzo lubimy takie lekcje, na których własnym rozumowaniem dochodzimy do właściwego pojęcia tej czy innej sprawy.

2-II-30 r. Rozśpiewały się słowiczki na V kursie. Raźnie brzmią tony „Szarej plechoty,” a w takt piosenki maszerują po wojskowemu wyprężone: Ala i Maryśka. Oj, wesoloż, nam wesolo!

A za rok?... gdzie też nas losy rozrzuca... Nam już dziś żal jest szkoły, żal wspólnych w niej przeżyć, żal nawet białych, prostych klasy ścian...

19-II-30 r. Już po balu! Trochę wspomnień, (czasem westchnień skrytych...) drżące jeszcze w uszach tony muzyki nie bardzo pomagają przy odrabianiu lekcji...

Odkryłyśmy po balu nadto talent poetycki u jednej z koleżanek, która pod wpływem — no, nie wchodźmy — czego, stworzyła ten oto wiersz:

Smutno mi, Boże, że już po zabawie,
Co była cudną, ach, uroczą chwilką...
Choć dźwięki walca słyszę jak na jawie,

Wiem, że to teraz marą i snem tylko.
I że zabawa powrócić nie może

Smutno mi, Boże!

Smutno mi, Boże, że rzuciwszy pracę,
I obojętnie patrząc na ksiąg wielkie stopy,
Na rozmyśleniach próżnych głowę tracę,
Nie bacząc wcale na me przyszłe losy.
Więc, że matura ominąć mnie może,

Smutno mi, Boże.

Kurs IV.

5-I-30 r. Powstał projekt na kursie urządzenia choinki i zaproszenia na nią pań nauczycielek IV kursu.

Kilka amateerek świeżego powietrza razem z p. Agnieszką poszło do lasu po drzewko.

Wszystko było w mig zrobione. Wieczór spędziliśmy b. przyjemnie przy zapałonej, jeszcze „pachnącej lasem choince.”

21-I-30 r. Ten dzień miał dla nas wielkie znaczenie: po I, że była klasówka z polskiego, a po drugie, że były to imieniny naszej kochanej p. Agnieszki.

Po obiedzie wzięłyśmy się porządnie za lekcję, aby odrobić wcześniej, bo na naszym kursie miała być herbatka. Ruch był wielki. W kilka minut z klasy powstała sala jadalna. W rogu gramofon wygrywał kuranty, goście się schodzili. Oprócz p. Dyrektorki i p. Ziutey wszystkie panie razem z ks. Kanonikiem zaszczyliły nas swym przybyciem.

25-I-30 r. W związku z balem już od kilku dni mamy pozwolenie siedzieć po pałacu na kursie, aby robić tańcuch, potrzebny do dekoracji sali. Dostęć liczne grono zabiera się do tej pracy, przy której pomaga nam także p. Janina.

30-I-30 r. Na 5-ej i 6-ej lekcji słuchałyśmy koncertu przez radio dla młodzieży szkolnej.

7-II-30 r. Na drugiej godzinie byłyśmy na lekcji hospitacyjnej śpiewów, kt. prowadził p. Profesor w I-ym oddz. Prowadzenie lekcji wprowadziło nas w zachwyt, nie mówiąc już o dzieciach, które patrzyły i słuchały z otwartymi buziami. Najwięcej podziwiali one skrzypce, na których p. Profesor przegrywał piosenkę.

10-II-30 r. P. Stelli imieniny. Byłyśmy na Mszy św. i śpiewałyśmy na chórze. Wysłałyśmy też list, którego treść sformułowała Kryśka R. Staraliśmy się ten dzień uczcić, zachowując się możliwie lepiej z myślą o naszej kochanej Solenizantce.

12-II-30 r. Już całkiem balem pachnie na naszym kursie. Nawet na tablicy tańczą pary za parami (ale narysowane kreśda). Stacha sunie z jakimś malarzem, Maryla z pilotem, a Hanka z Franusem. Pa-

ry te nie znikają i podczas lekcji wirują, co wzbudza śmiech pań nauczycielek, które są tak dobre, że pozwalają nam robić lańcuch, pod warunkiem dobrej uwagi.

13-II-30 r. Dziś już lekcje poszły w ką. Każda zajęta tą myślą, że to już jutro zabawa, a tu bluzka lub spódniczka niegotowa. Bezpośrednio po obiedzie wzięliśmy się za ubieranie sali, praca była podzielona: jedne przypinały firanki, drugie wily wieńce, inne zajęte były urządzeniem kiosku i buduaru, a najsprytniejsze zawieszaly pajaka, co było rzeczą b. trudną. Przy tej pracy przewodniczyła we wszystkim p. Janina, udzielając nam rad i swej pomocy. Około 12-iej w nocy dekoracja była na ukończeniu, resztę kończyło się w sobotę po 3-ich lekcjach.

17-II-30 r. B. ciekawą lekcję miałyśmy dzisiaj z polskiego. Przerabiamy „Boską Komedię” Dantego. Najbardziej zajmujący dla nas jest podział piekła. Tak jesteśmy przejęte, że nawet już podzieliłyśmy się na koła: jedne stanęły obok Homera i Lucana, a inne „Minos” spuścił w niższe kregi. Najwięcej, znalazło się w III-ciem kole tj. wśród żarlików, dosyć dużo należy też do V-go koła t. zw. gniewliwych i gnuśnych.

Na lekcji historii Hanka K. wygłosiła b. zajmujący referat na temat: „Józef Bem” który wzbudził ożywioną dyskusję, gdzie chodziło o to, czy można zmienić religię tylko formalnie z miłości do Ojczyzny.

Kurs III.

11-I-30 r. I żeby choć chwilę mieć spokojną, — ale gdzież tam! — wszystko znajduje, wszystkiego się domyśla! Wszędzie szmery, szepty, śmiechy: „Trzeci kurs — coś urządzić. Otóż właśnie, że nie! Chodźmy tylko bardzo prosto „na gwiazdy” — a one zaraz — „urządzają coś”!

W samej rzeczy to my urządzamy szopkę. Schowane po kątach, otoczone tajemnicą, preparujemy jedwabno — płóciennie — watowanych artystów. Tak, sekret, tajemnica. Do niedzieli nikt nie może się dowiedzieć!

12-I-30 Szopka udała się podobno dobrze, niektórzy nawet twierdzą, że świetnie.

18-I-30 r. Dziś wzięliśmy nasze dzieło tj. szopkę na barki i ze śpiewem podążyliśmy do ks. Proboszcza, ale o zgrozo! w połowie drogi przypomnieliśmy, że nie mamy — książeczek! Co robić? Następnie szukanie w całej pełni. Aż wreszcie Jadzia znalazła ją w klasie pod ławką.

Przedstawienie udało się, pomimo że artyści byli trochę statygowani podróżą, a szczególnie Czarniecki cierpiał na odpad-

nięcie głowy, ale nasza metoda lekarska niciano-igłana zaradziła temu.

19-I-30 r. Urządziliśmy szopkę dla dzieci ze szkoły powszechnej. Co tam było pisku, wrzasku, śmiechu, — a radości! — trudno opisać.

25-I-30 r. „Ach, rozpacz nas ogarnia” „E, co tam rozpacz! — chodźmy do Pani Dyrektorki, to coś się poradzi.” — Rzeczywiście Pani Dyrektorka pozwoliła estradę urządzić (bo właśnie o to nam chodziło) ale kto ją złoży? — Trudne położenie, no ale wybrnęliśmy jakoś z niego szczęśliwie, choć z wielkim trudem.

26-I-30 r. No, znacznie łatwiej poszło z rozebraniem sceny, bo dobre chęci były jeszcze podniecone powodzeniem, jakim się cieszyło przed chwilą odbyte przedstawienie. Deski, belki, stolki „fruwały w powietrzu jak papierki” tak, że w przeciągu kilku minut i znaku nie było po scenie.

12-II-30 r. Dziś pożegnaliśmy Wandzię, która przeniosła się do seminarjum w Łomży. Jakoś Wandzie nie mogą się przyzwyczaić do naszego kursu, jest to bowiem już druga Wandzia, która nas opuszcza. —

Kurs II.

21-XII-29 r. Nastąpił upragniony wyjazd do domu na święta. od tygodnia przygotowaliśmy się do tego, ścigając kosze i walki ze strychu. Tego dnia miałyśmy tylko trzy godziny lekcji, a jednak siedziałyśmy jak na rozżarzonych węglach. Każdej biło serce na myśl, że może samochód jej nie zabrać. A jednak wszystko dobrze się zakończyło, bo po południu z okrzykami radości rozjeżdżałyśmy się do domów.

3-I-30 r. Minęły święta i znów znalazłyśmy się w Marjówce. Trudno opisać, ile było gwaru, ruchu, opowiadań...

Pomimo tej wesołości, niektóre były smutne, zamyślane i wzdychały za domem. Biedaczki!.. musiały się jednak zgodzić na powrót do Marjówki, by wziąć się porządnie do lekcji, ze względu na zbliżające się półroczce.

9-I-30 r. Byłyśmy na koncercie radiowym dla młodzieży szkolnej. Słuchając muzyki, byłyśmy myślą w Filharmonii warszawskiej.

Miła nam była ta rozrywka, tem bardziej, że nie miałyśmy dwóch ostatnich lekcji.

26-I-30 r. Miałyśmy obiad z p. Zofją. Sala nasza wyglądała bardzo ładnie, a nawet zakrawała na „Oazę” lub „Gastronomję”, tem bardziej, że podczas obiadu grał gramofon. Po obiedzie jadalnia przemieniła się w salę taneczną, (wszystko jak w bajce) i po chwili sunęły pary do mazura. Dzień ten mile zarysował się w naszej pamięci.

31-I-30 r. Sesja... okrzyk ten rozszedł się szybko po całym gmachu. Zewsząd słychać westchnienia: „raz kozie śmierć” i t. p. Czekamy cenzur z biciem serca.

10-II-30 r. Lubimy lekcje muzyki, chociaż czasem za fałszywe dźwięki gniewa się p. Profesor. A jednak imponuje nam bardzo to, że gramy już „Pije Kuba do Jakóba”. Wprawdzie wychodzi to nieco fałszywie, ale my i tak jesteśmy dumne.

Kurs I.

2-II-30 r. Na sali wielki ruch i biegania. To przed przedstawieniem naszego kursu. Od rana już ubieranie sceny, szykowanie kostiumów i t. d.

Dziewczynki, biorące udział, ubierają się i charakteryzują jak potrzeba.

Cale przedstawienie poszło niezle, nawet dobrze. Publiczność uśmieła się dosyć i nawet była zadowolona, co nam pierwszokursistkom sprawiło wielką przyjemność.

5-II-30 r. Na kursie cisza, jakby posiał makiem. Zda się słycać głośnie, niespokojne serc bicia. Oczy każdej zwracają się w stronę katedry, na której to oczekują ich wyniki półroczne — cenzurki. Każdej mimowoli nasuwa się myśl: może ja mam dwójkę, albo ze dwie? O, Boże, co za los! To też miłosiernie spoglądają tam, jakby prosząc, aby się ich myśli nigdy nie spełniły.

Aż wreszcie ciszę tę przerywa głos p. wychowawczynie, wymieniającej z kolei nazwiska dziewczynek. Każda z bijącym sercem podchodzi do katedry i drżącymi rękoma bierze papier, na którym to wypisana jest ocena jej półrocznej pracy. I oto na kursie zachodzi wielka zmiana. Oto przed chwilą było wielkie skupienie i cisza, a te-

raz — jedna promienieje szczęściem i radością, druga zaś wybucha płaczem.

Zmiana, jaka zaszła na kursie, mówi, że to — półrocze.

15-II-30 r. Zabawa! Tu i tam rozlegają się głosy: zabawa! My z naszego kursu wyjeżdżamy z ławkami, ponieważ tu ma być urządzona sala jadalna. Naturalnie nie dla nas, no, ale trudno. Z sypialni również wynosimy łóżka, bo tu znów ma być nasza sala taneczna. Wieczorem o godzinie 5-tej sprowadzono grajków z sąsiedniej wioski, no i przy tej muzyce ubawiliśmy się doskonale. Prócz tego na kolację były pączki, które nas jeszcze w lepszy wprawiły humor.

Kurs wstępny.

10-I-30 r. Tego dnia byliśmy pierwszy raz na ślizgawce. Na lodzie wrzało jak w ulu. Każda pełna zadowolenia biegła żwawo na zamrożnięty już staw. Jedne ślizgały się na łyżwach, drugie na sankach, inne znów w samych butach. Znalazły się również takie, które stały obok i przyglądały się tym, które ochoczo biegły i wykrzykiwały z radości. Pani Wychowawczynie stała z ks. Kanonikiem i przyglądała się rozbawionym dziewczynkom. Gdy zbliżył się czas powrotu do domu, jedne zmęczone już biegły, innym się nie spieszyło i choć na chwileczkę jeszcze chciały pozostać, aby pobiegać po lodzie, co im sprawiło wielką przyjemność.

17-I-30 r. Weszły na kurs 3 postacie, które przedstawiały Stefana Batorego i jego żonę Annę Jagiellonkę i Stańczyka.

Bardzo ładnie wyglądała Anna Jagiellonka, która była ładnie i charakterystycznie ubrana.

Kształcenie na urzędników samorządowych.

Do szkół i instytucji, które jak wylicza Okólnik M. S. W. z 4 stycznia b. r., w Warszawie, Lwowie, Krakowie, Poznaniu, Wilnie i w Łucku, przygotowują różnej kategorii pracowników do samorządu, przybywa Jarosław (Małopolska). Jarosławska 4 letnia szkoła handlowa uwzględnia w swoim specjalnym programie nauki dział przedmiotów samorządowych i na najwyższym kursie specjalizuje swoich kandydatów między innymi na pracowników samorządowych. Szkoła stoi na poziomie gimnazjum. Warunkiem wstępu do pierwszej klasy jest ukończenie 4 klasy gimnazjalnej względnie pełnej szkoły powszechnej i egzamin wstępny, zaś do czwartej klasy — świadectwo ukończenia 3-klasowej szkoły handlowej. Przy szkole prowadzi się nadto kursy samorządowe.

PRENUMERATA ROCZNA 3 zł. z PRZESYŁKĄ 3,50.

Redaktorka odpowiedzialna: Irena Bagińska.

Adres Redakcji: SEMINARIUM NAUCZ. ŻEŃSKIE W MARJÓWCE P. GOŹDZIKÓW

Druk szkoły rzemiosł w Marjówce.